



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

C R E D O.

Wierzę w niewinność—i miłość anielską—
W ideał Piękna i Prawdy na ziemi—
W cnotę widzialną—a nie marzycielską—
W gołębia Wiary z piórami srebrnemi...

W przyjaciół wierzę—i w przyjaźń dozoną—
I w myśli świętych nad złemi zwycięstwo...
W wiosnę człowieka—uczuciami wonną—
W serc wielkich niczem niezachwiane męż-
two—

W natchnienie wierzę—w myśl słoneczną, Bożą—
Co błyskawicą porożświetla duchy...
I w moc tej pieśni—przed którą się kora
Gwiazd Aniołowie—a świat stoi głuchy...

Wierzę, że siejąc w serca złote ziarna,
Kłosów się siejbiarz doczeka—i plonów...
Że nie przepadnie żadna myśl ofiarna—
Co się odezwie w sercach echem dzwonów...

Wierzę, że więcej nad tego—co wichrzy
Światem swą sławą—w słońcach błyskawicy,—
Uczyni dobra pracownik najcichszy —
Byle wszedł z czystym sercem do winnicy...

Wierzę, że w cichej pracując pokorze—
Pod dobre czyny przygotowuję rolę,
I przyspieszymy tu królestwo Boże—
Byleby każdy z nas miał—dobrą wolę...
Stanisław Nałęcz-Ostrowski.

Ś.  P.

Zofia Podlipska.

Cześć mają zwyczaj, iż nie zwlekając do pewnych przyjętych na uświęcenie jubileuszu lat pracy — obchodzą rocznicę 60-tą 50-tą lub wcześniejszą nawet urodzin swych przodowników, aby zdążyć jeszcze za życia z wyrażeniem im swego uznania, czci i wdzięczności za pracę około winnicy ojczystej. Z tej racji w 1890 roku obchodzono 60-tą rocznicę urodzin znakomitej Karoliny Świetli, w zeszłym roku 50-tą rocznicę utalentowanej poetki Eliszki Krasnohorskiej, a dnia 15 Maja 1893 r. 60-te urodziny ś. p. Zofii Podlipskiej. Wtedy to ze wszystkich stron Czech, Morawy i innych krajów słowiańskich nadchodziły do niej telegramy, listy i adresy, między którymi były także dwa z Warszawy. Ś. p. Zofia urodziła się w Pradze dnia 15 Maja 1833 roku. Była ona córką zamożnego kupca Eustachego Rotta i małżonki jego Anny z Voglów.

Otrzymała bardzo staranne wychowanie, uczyła się razem ze starszą o trzy lata tylko siostrą swą Joanną, późniejszą Karoliną Świetłą. Szczęśliwi zaiste byli rodzice, których dwie córki tak dzielnie się pokierowały i tak wybitne zajęły stanowiska. Obie siostry przeszły przez życie bez zarzutu, były dobrimi córkami, kochającymi siostrami, zacnymi żonami i obywatelkami kraju.

Zofia w dzieciństwie słabowita, długie dni spędzała w przymusowej bezczynności. Ale rozwinięty nad wiek umysł nie spoczywał — rozmyślała ona wiele i już wtedy skłonna była do fantastycznych marzeń, które widocznie wyrobiły się biegiem czasu przy odpowiednim wykształceniu na talent powieściopisarski.

Przyszłszy do zdrowia tem pilniej wzięło się dziewczę do nauki, w której zwykle była celującą. Chociaż wykształcenie otrzymała w języku niemieckim, skoro tylko zawiął prąd patriotyczny — zaczęła razem z siostrą studiować język ojczysty i wkrótce posiadała go w zupełności.

Ze szczególnem zamiłowaniem uczyła się historii kraju, co dało podstawę do jej wybornych powieści na tle historycznem.

Przy łóżku chorej matki poznała zdolnego doktora Józefa Podlipskiego, który od pierwszego widzenia ocenił godnie przymioty jej serca i umysłu, obok niepospolitej piękności.

Częstsze widywanie wywiązało wzajemny serdeczny stosunek, który fundował się głównie na wspólności zapatrywań i poglądów na życie; 1858 r. odbyły się zaślubiny młodej pary.

Mało było małżeństw bardziej dobranych.

Wielki patriota, wysoko wykształcony i bardzo uczuciowy mąż znalazł w żonie uzupełnienie samego siebie. Podlipska uwielbiała męża, który pod każdym względem na to zasługiwał. Pragnęła mu osłodzić każdą smutną chwilę życia, jakich nie brakowało w jego zawodzie.

Powołanie jego sprawiało mu niezmiernie cierpienia. Nigdy nie mógł patrzeć spokojnie na ból i śmierć bliźnich. — Byłam świadkiem jak się męczył, gdy nie mógł choremu pomóc, ile nocy nie spał, myśląc o swych pacjentach, — mówiła Podlipska.

Człowiek z tak delikatnem czuciem dla obcych był idealnym mężem i ojcem. Żona była jego

najzaufanym przyjacielem i powiernicą, każdą też wolną od zajęć chwilę jej poświęcał.

Wtedy to razem czytali i dysputowali, co niezmiennie przyczyniło się do udoskonalenia wykształcenia Zofii. Ile razy miała jaką wątpliwość, zawsze udawała się z tem do męża, który nie szczędził czasu, ani pracy, aby ją usunąć.

Jemu też zawdzięczała Podlipska, postanowienie wzięcia się do pracy literackiej, do której ją mąż nakłonił, widząc niezwykle w tym kierunku zdolności.

Niczego już nie brakło do szczęścia małżonków, kiedy przybyło im dwoje dzieci: Prokop i Ludmiła.—Matka oddała się nowym obowiązkom z całą rozkoszą, nie zaniedbując jednak zaczętej już pracy literackiej.

Wszystko składało się dobrze, ale los chciał inaczej. Po krótkiej chorobie doktor, który cierpiał nad swą bezsilnością, w obec nieubłagane go wyroku śmierci dla swych pacjentów, sam musiał mu uleść.

Po 9 letnim szczęśliwym pożyciu Podlipska została wdową. Cios był tak straszny, że długo się z niego otrząsnąć nie mogła. Osamotniona i pozbawiona dzielnego przewodnika i opiekuna marzyła o śmierci. Ale obowiązki matki wyrwały ją z tego stanu odrętwienia.

Chociaż obezwładniona cierpieniem postanowiła zastąpić sierotom ojca i wywalczyć im byt odpowiedni. Wzięła się tedy ze zdwojoną siłą do pracy, a za pierwsze otrzymane honorarium postawiła mężowi nagrobek.

Wykształciwszy dzieci i zapewniwszy im samodzielną egzystencję, bo syn został doktorem praw i posłem do sejmu, a córka wyszła za sławnego poetę Jarosława Fridę, piszącego pod pseudonimem Vrchlickiego, poświęciła się działalności filantropijnej.

Zamieszkawszy przy córce czas dzieliła między uczynki miłosierne, pracę literacką i pielęgnowanie wnuków, których ubóstwiała i nawzajem przez nich kochaną była.

Stosunek jej z siostrą i jednym żyjącym bratem był zawsze nader serdeczny. Ciesząc się lepszym zdrowiem od chorej siostry Zofia codziennie ją odwiedzała, aby się dowiedzieć jak się czuje i pogawędzić serdecznie.

Przez ów wiek była ochoczą pomocnicą Wojty Naprstka w ważnej dla społeczeństwa sprawie kobiet. Oprócz innych stowarzyszeń, w których brała czynny udział, ze szczególnem zamiłowaniem oddała się „Opiece nad opuszczonymi i zaniedbanymi dziewczętami,“ gdzie przez lat 10 była przewodniczącą. Stowarzyszenie to wyszukuje nieszczęśliwe dziewczęta, pozbawione rodziny, lub co gorzej zaniedbane przez nie lub wchodzące na złą drogę i zapewnia im rodzicielską opiekę. Dwa zakłady urządzone na prowincyi mające do 50 wychowanek, prowadzone są wzorowo. Podlipska oprócz czuwania nad niemi zdaleka, osobiście zwiedzała je po parę razy do roku i wtajemniczała się nie tylko w każdy szczegół domowej gospodarki, ale badała charakter każdej wychowanki, cieszyła się z jej postępów lub cierpiała nad opieszałością w poprawie.

To też przybycie jej było witane nie jak przewodniczącej, lecz jak matki, tak przez zarządzające zakłady osoby, jak przez same wychowanki. Ze śmiercią tej zacnej pani, biedne dzieci straciły kochającą matkę. Gorąca patriotka współczuła z wszystkimi gnębionymi. Jako siostra Słowianka chętnie zawierała znajomość z pobratymcami i widywała ich u siebie.

Pracowita i czynna do ostatniej chwili, na parę dni przed śmiercią robiła jeszcze korektę dzieła, które dopiero teraz wydane zostało.

Wyglądem swym nie zdradzała choroby serca, która dręczyła ją od lat kilku. Serce, które tyle w życiu cierpiało i czuło za siebie i innych swych blizkich i dalszych, zapragnęło nakoniec spoczynku, zwłaszcza po listopadowych burzliwych przejściach w Pradze, których skutków nie zdolano ukryć przed ząną pacjentką.

Zofia Podlipska była niepospolitą pracownicą o wyrobionym duchu i odpowiedniem wykształceniu, niezmiennie pilną i chętnie ofiarującą

swą duchową grzywnę piórem i żywym słowem ku potrzebie publicznej.

Mającą niezwykle dar wymowy była poszukiwaną jako prelegentka i nie zdarzało się nigdy, aby usługi swej na dobry cel odmówiła.

Chociaż powieści Podlipskiej licznych znajdowały zwolenników, mało zapewne poszczyciło się może tem, że przeczytało wszystkie jej utwory, tyle ich bowiem napisała, iż sama ilość jej dzieł jest imponująca. Pierwszy tom jej powieści wyszedł w roku 1860—odtąd co roku wydano jakąś nową jej pracę. W powieściach społecznych doskonale przedstawia życie rodzinne tak powszednie, a jednak nie pozbawione poezji, drobiazgowo maluje charaktery kobiece; a wogóle wszystkie jej dzieła odznaczają się głębokiem wytrwałem badaniem i filozoficznym poglądem, z powodu których nawet często sama akcja się przewleka.

Z powieści, których napisała 64 tomów najlepszą jest „Osud a nadom“ (los i talent). Jest to praca prawdziwie artystyczna, jak powiada o niej Krasnohorska, jest to najdelikatniejsza przedza myśli. Wielki też talent miała do tworzenia powieści historycznych dla których musiała studiować pilnie dzieje ojczyste, to też czytając czy to jej trylogję Anežka Premyslava, Jarosław Sternberg, Bremsyl Otokar II, czy powiastki historyczne dla dzieci, czytelnik pomimo woli unosi się w dawne czasy, zdaje mu się, że widzi opisywane postacie, a nawet działa razem z niemi. Wielką zasługę położyła Podlipska, jako autorka, dla ludu, a szczególnie dla dzieci. Pedagogiem jest ona nieporównanym, zna wybornie skalę umysłu i usposobienie czytelników i umie do nich odpowiednio przemawiać.

Bogata wyobraźnia i umiejętnie przedstawienie rzeczy czyni, że bajki i powiastki jej dla dzieci należą do najlepszych utworów literatury czeskiej. Powieści ludowych napisała 26, a powiastek i bajek dla dzieci, młodzieży starszej i młodszej 14 tomów, z których najpiękniejsze są „Osudy dvonpsu“ (Losy dwóch psów) „Pratelstvi dvom koni“ (Przyjaźń dwóch koni) „Dobrocinná straka Dobročinná sroka“ i „Pohádka o mne“ „Bajka o mnie“, o której Krasnohorska twierdzi, że napisanie tego jednego utworu mogło ją postawić w rzędzie najlepszych pisarzy.

Badając i znając dobrze potrzeby dzieci uscenizowała 14 bajek dla teatru maryonetek. Jeden z tych utworów „Popelka“ (kopciuszek) grany był w roku zeszłym publicznie przez dzieci na cel dobroczynny z ogromnem powodzeniem.

Dalej napisała też 5 utworów dramatycznych dla dorosłych: Pred obedem (Przed obiadem) Stavebni den (Dzień ślubu) i inne.

Żaden dział pracy literackiej obcym jej nie był. Z upodobaniem pisała studia literackie i etyczne. Do pierwszych należą:

Vylet dejnami umenu (wycieczka w dziedzinę sztuki). Cteni, a zivot (czytanie i życie) Cteni a divadla (czytanie i teatr) Servantes.Don Quixote i Oblamov Gancowra i t. p. do drugiej: „O przyjaźni“, „Łupina i ziarno“, „O pracy“, „O zdolnościach“ i t. d.

Nareszcie chętnie też pisała życiorysy zasłużonych osób, bądź to podług źródeł historycznych, bądź też z własnych wspomnień jak: Zuzanna Dobrovinova, pani de Seigné, Marya Antonina Dobrovinova, Polka mezu Ceskami, Vspominka na Honoratu Zapovou (Wspomnienie o Honoracie Zapowej), Wojta Naprstek i inne.

Prócz całej masy utworów wydanych drukiem zostawiła jeszcze bogatą spuściznę w rękopismach, które pozostała rodzina odpowiednio zużyć nie omieszkła.

Chociaż jako zasłużonej działaczce na niwie ojczystej, należało się jej miejsce między wybranymi znakomitemi współziomkami jak Jabłoński, Smetana, Trzebiński, Niemcowa, Jelinek i inni, których prochy składają Czesi ze zcją na cmentarzu Vysehradzkim, ona jednak zawsze skromna, pragnęła spoczywać obok męża swego na cmentarzu Olszańskim, gdzie też z wielkim żalem rodaków dnia 19 Grudnia 1897 r. pogrzebaną została.

Antoska.

W zatoce śmierci.

(Wspomnienie z tułactwa).

(Dalszy ciąg).

II.

Na ten to brzeg bezludny i obumarły, pewnego dnia statek „Lloyda“ idący z Tryestu wysadził parę osób: mężczyznę nie młodego już, lecz atletycznej budowy i czerstwego i młodą ośmnastoletnią najwyżej, dziewczynę — bladą, wysmukłą jak cyprys i jak on zasmuconą. Byli to: ojciec i córka.

Signor Sbutteggha—tak się nazywał mężczyzna—po kilkudziesięciu latach służby na statku „Lloyda“, został, dla słabnącego wzroku, usunięty ze stanowiska, jakie zajmował i, jak skołataną szczałek rozbitego parowca, wyrzucony na brzeg albański w charakterze zarządzającego miejscową Agencją Lloyd'a.

Signora Ginna, nie mając nikogo na świecie prócz ojca, towarzyszyła staremu na to jego wygnanie, na niewdzięczne, słynące gorączkami i febrą, wybrzeże Adryatyku.

„Stary marynarz pełnił automatycznie swe powinności; trząsł się od febrы regularnie kilka razy do roku; spijał, od czasu do czasu, samotnie „maraschino“ i, nie spodziewając się nic lepszego od losu, wyczekiwał kresu dni swoich z pogardą i obojętnością tych, co zawartość życia wyczerpali już do dna.

Stary Sbutteggha—już się nie oburzał na dole własną; gdy jednak czasami ukradkiem, odrywając wzrok od ksiąg rachunkowych, przenosił go na bladą cerę swej jedynaczki, na całą jej postać znękaną, osowiałą przedwcześnie, ze stygmatem ukrytego cierpienia na czołe, wówczas burza zrywała się w jego piersi, a z ust wychodziły pomruki, przekleństwa i złorzeczenia, kończące się najczęściej włoskiem:

„Povera creatura! Corpo di Baccho!“

Ginna wówczas uspokajała ojca, mówiła mu, że dobrze się czuje przy nim i nie pragnie nic więcej, prócz spokoju i mniej silnych paroksyzmów febrы.

Nie wyobrażała sobie Ginna jak się na niej odbije pobyt na pustkowiu morskiem. Opuszczając miasto nie zdawała sobie sprawy z tego, czego będzie żałować, czego pragnąć, jakich braków będzie doznawać i z jaką siłą odzywać się w niej poczną rozmaite potrzeby: wieku, płci—duszy młodej, pragnącej się rozrastać, cheiwej życia i jego roztargnień...

Jechała z ojcem pełna tych uczuć dumy i miłości własnej, jakich doznają dusze szczytne w obec przewidywanych trudności i niebezpieczeństw życiowych... Zadałwnia je z początku sama walka z przeciwnościami: żyją szczęściem płynącym z pokonywania tego, co bytowi ich zagraża—szczęściem tem żywszem, im pomyślniej walka jest prowadzoną.

Zyla i Ginna jakiś czas podobnem rozradowaniem duszy—i to jej wystarczało.

Najmężniejszą jednak istotą walczyły w nadziei otrzymanie jakiejś zapłaty, za wytrwałe bojanie; Ginna żyła również tą nadzieją; żyła wiarą, że wreszcie walka ustanie, a wynagrodzenie pożądanę jej nie minie. Nie wyobrażała sobie tego, w żadnej postaci, miała tylko to głębokie przeświadczenie, z którym żyła cierpliwie...

Znikąd jednak nie nie przychodziło, a walka nie ustawała...

Znikąd, — nie! Pokrzepienia nawet żadnego nie miała! przeciwnie!

Każdy parowiec, przystający na chwilę u wejścia do zatoki, długim swym i przeraźliwym rykiem, budził tylko w niej żywszą świadomość upośledzonego bytu, każda mewa przelatująca, nieciła w jej duszy zasklepionej—trwogę nieokreśloną, w obec tajemniczych przeznaczeń; każda fala nabiegająca na czarny namul brzegu zatoki, ze spokojem nieubłagany i pewnym sie-

bie, wyrzucała jej codzien te śmiertelne słowa, które były treścią jej życia: pustka, nuda, zamieranie powolne—niepowstrzymane...

Wzrastała w Ginnie żądza życia, nagromadzały się siły uczucia, potężniały potrzeby i kryształizowały się w jej duszy; w miarę tego jednak rosło w niej także przekonanie, że znikąd zaspokojenie ich nie przyjdzie... Na miejsce dawnej radości i dumy, duszy wyczekującej nagrody za opór wytrwały, wkładało się powoli zwątpienie, gorycz ponura, żal cichy, trawiący ją od wschodu do zachodu,—poczucie cierpkie krzywdy niezaskuszonej, nieczem niewywołanej.

Siły wszakże nagromadzały się same przez się, nieproszone, lecz zużyte na nic być nie mogły...

Zwiczrzały się tylko w głębiach ducha i ścięrały się na proch, jak te olbrzymie bałwany morskie, rzucające się na siebie zawzięcie bez celu i myśli, co się kruszyły i rozsypywały na kurz drobny, ginąc bez śladu i wieści...

Duch Ginny targał się niekiedy i szarpał boleśnie, domagając się gwałtownych uzewnętrznień.

Czasami szalał jakiś i pragnienie ruchu, dla ruchu samego, ogarniało Ginne...

Wylatywała wówczas z domu, najczęściej wieczorem, chodziła długo w nocy po brzegu morskim—stawała skamieniała, łamała ręce konwulsyjnie, oglądając się, na wpół trwożnie, na wpół w nadziei, że tu może, na tym brzegu jałowym i odludnym, fala morska złoży u jej stóp, jakiś upragniony dar życia, że przyniesie jakieś słowo pociechy, że wyszmerze może ktoś cicho, słowo: współczucia i ubolewania.

...Fala była obojętnie nie niosąc żadnej pociechy,—na brzegu nikt, nie spieszył ze współczuciem.

Nic—nikogo! Nawet ludziom bólu swego nie mogła Ginna, pokazać—może byłoby znośniej!

...Chęć wydania krzyku—jakiegoś dzikiego krzyku trwogi, nawiedzała wówczas Ginne—opamiętanie przychodziło jednak nagle.

Krzyczeć! — po co? — mówiła do siebie szepem—nikt na ratunek duszy mojej nie przyjdzie...

I wówczas ogarniała ją, wobec morza uspio-nego w zatoce, w obec fali sennie rozszemraanej, jakieś marzenia dziwaczne, jakieś sny nieziemskie duszy, niewiedzącej już w zwątpieniu, ku czemu zwrócić się na ziemi.

Radaby była wejść w opokę, zniknąć w niej i żyć w postaci martwego kryształu, lub roztopić się w żywiole morskim i w jednej jego kropki bytować...

Chęć zatarcia siebie, swojej świadomości, swych ruchów—w ogóle całej swej istoty—pragnienie wielkie unieruchomienia jej, przejmowało ją dreszczem... Szła tedy zwolna wzdłuż brzegu, siadała wśród masy kamieni rozspanych na nim i przesiadywała nieraz do świtu samego — cicha, nieruchoma i niema, jak te szare złomy, któremi była otoczona...

III.

W tych swoich wycieczkach nocnych zapędzała się czasami Ginna, aż do „Fary“ (nadbrzeżna latarnia morska) położonej na krańcu zatoki, w miejscu gdzie ona zlewała się z morzem... Było tam więcej hałasu i zamętu: żywioł rozrzucał się tu szerzej i wzdymał się potężniej: oszałamiało to Ginne, unicestwiała i koiło...

Zresztą sam widok morza uderzającego nieraz ciężkim swym wałem o brzeg, sam widok fal szturmujących zaciekle do latarni morskiej i roztrącających się gwałtownie obrzucając ze złości bryzgami jej fundamenta, stawiał przed wzrokiem Ginny jakiś obraz życia pełnego grozy, życia ruchliwego i niebezpiecznego, z którym jak żeby pragnęła się zetknąć,—które mogłoby wypróbować jej siły, rozwinąć je, zużyć i ocenić...

Chętnie zaglądała do „Fary“ i dlatego także, że żyły tam dwie ludzkie istoty, tak samo związane ze sobą, jak ona ze swym ojcem, tak samo odrzucone od świata, samotne i, wobec losu, nie-mocne.

Byli niemi: Pietro strażnik latarni, stary weteran osiwiwały w zapasach z morzem i jego kilkonastoletni wnuczek Leonardo, wesoły, rześki chłopak igrający wciąż z morzem jak z zabawką dziecinną.

Lionardo pomagał dziadkowi wciągać i zapalać sygnały na wieży, gotował staremu kawę, łowił z nim ryby na wieczerzę,—zresztą cały czas wolny przebywał w łodzi na morzu, bratając się z nim i pieszcząc, jak z najmilszą piastunką.

...Mały Leonardo czuł w sobie niepowstrzymany przypływ życia, który parł go do ruchu nieustannego, do zużywania siebie — do jakiejś zabawy, bez przerwy i spoczynku; dokoła siebie widział głuchą pustkę, życie odmierzone od wieków, bez zmian nagłych, bez wrażeń nowych—ponurego, milczącego dziadka, pomrukującego wciąż na jego podskoki,—instynktem więc zgadywał, gdzie szukać upustu dla sił jego, wciąż wezbranych i nieukończonych, gdzie ratunku i wybawienia od martwoty i smutku... Puszczając się tedy na morze, jak na jarmark jakiś, albo salę godową, gdzie wśród zgłębku i wrzawy ludzkiej, upływa życie bez nudy, w ciągłej odnowie wrażeń—i wybuchach wesela.

Całymi godzinami, uspiwszy zręczną troskliwość dziadka, przebywał na morzu: to pasował się z naciskiem fal manewrując zręcznie łodzią, to składał wiosła i upajał się jej bujaniem, pochłonięty tym bezmiarem wody, co dokoła niego przewalała się w jałowej, nieskończonej rozterce...

Chłopak ubóstwiał ten żywioł ruchliwy—miał tylko pociąg do niego.

Ginna odwiedzała często starego Pietra, lubiła słuchać wspomnień jego i opowiadań o życiu pełnem przygód, wysiłków i wstrząśnień pozostających na zawsze w pamięci; do Lionarda zaś przylgnęła instynktem duszy znękaną, lubującą się w tem, co zdrowe i niezwarzone, co żyje radośnie, bez smutku i zwątpień, nie myśląc o życiu.

Najczęściej zaglądała Ginna do „Fary“ wieczorem.

Stary Pietro wyczekiwał niecierpliwie „Signoriny“—kazał Lionardowi: rozpalać ogień na kominku i gotować kawę, wiedział bowiem, że będzie miał do niej trochę ulubionego „maraschino.“ o którym zawsze pamiętała Ginna... Mały Leonardo także wyczekiwał z drżeniem przybycia Ginny, lubił bowiem namiętnie przysłuchiwać się opowiadaniom dziadka, zwłaszcza tym, w których główną rolę odegrywała burza,—a „Signorine“ upodobał sobie bardzo, nie wiedząc dobrze dla czego i za co,—chyba za to, że miała słodki wyraz twarzy, łagodnie mówiła do niego—nie tak, jak stary dziadek—i, że, tak jak on, lubiła najwięcej opowiadania o burzach i okropnościach morskich...

Opowiadania starego marynarza wyrwały duszę Ginny z jej odrętwienia zwykłego, a wyobraźnię Lionarda zapalały pragnieniem doświadczenia i przeżycia, tego wszystkiego, o czem dziadek, tyle dziwnych i strasznych rzeczy mówił.

Gdy stary ustawał w opowiadaniu lub przerywał jakąś opowieść, Leonardo niecierpliwiał się i błagał dziadka:

— „Jeszcze, jeszcze Gran-Padre!“ mówił prawie z płaczem w głosie jakby w obawie, że go ominie „Jakaś przyjemność niezwykła.

— „Opowiedz nam o największej burzy morskiej, jaką w życiu swem miałeś!“—tę prośbę dołączał zawsze, nigdy nienasycony grozą opowieści dziadkowych.

— Ale właśnie stary Pietro, na wspomnienie największej burzy-swego życia, milkł nagle, zapadał w zadumę jakąś senną i już do opowiadań nie powracał.

Wszyscy pograżali się wówczas w zamyślenie: Ginna powracała do swego zwykłego odrętwienia smutnego, latarnik stary przewracał węgielki na kominku, smoktał krótką fajeczkę i mruzczał, jakieś nieznane modły marynarskie; Lionardo zaś, wzrokiem roziskrzonym i niecierpliwym, wiercił szyby małego okienka, wychodzącego na morze, i wpatrywał się uparcie w grzywy rozi-

granych bałwanów, połyskujące w świetle latarni...

Każde opowiadanie kończyło się taką niemą sceną...

Ginna tak była przejęta tęsknotą, zawsze jednakową i niezmienną, tak ją wszędzie nosiła ze sobą, że nawet nie oddawała się tęsknocie swej, podczas tych milczących posiedzeń, lecz opuszczała prędko latarnię, żegnała starego krótkim:

„Buona notte Gran-Padre!“—i cicho wysuwała się z Lionardem, który ją zwykle do domu przeprowadzał... Leonardo tylko nie dawał za wygraną. Odprowadziwszy ukochaną „Signorinę“—powracał szybko do latarni, zaszywał się w jakiś zaciszniejszy kącik u stóp jej i wchłaniał w siebie, każdy dźwięk wydawany przez morze, chwytając wzrokiem każdy szczegół nocnego życia, tej czarnej masy wodnej, która to zbliżała się do niego, jakby go kusząc, to odpływała nagle, niby drażniąc i wyzywając...

Jednakowo przewalała się fala za falą, wciąż jednakie marzenie snuł mały Leonardo, wciąż tak samo, bez zmiany, tęskniła Ginna...

Długo to trwało...

W zatoce drętwiej i w życiu Ginny nie się zmieniało: Przystawali statki na chwilę i odchodzili, przez nikogo nie żałowane; wysiadali z nich czasem jacyś obcy ludzie i ruszali dalej z karawaną w głąb półwyspu, ledwie okiem rzuciwszy na głuche wybrzeże; zapalał Pietro i wciągał na wieżę sygnały; stary Sbuttegha trząsał się od febrzy, a Ginna sztywniała coraz bardziej i dogasała w tej martwocie nieprzerwywanej...

(Dokończenie nastąpi).

Zabawy staropolskie.

KULIGI I SZLICHTADY.

Huczneż to, a buńczuczne bywały staropolskie zabawy karnawałowe! Do najulubieńszych należały kuligi i szlichtady. Zazwyczaj rozpoczynały się one już od drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, a trwały do Popielca Krewni, znajomi, przyjaciele zbierali się w jednym z dworów szlacheckich, stamtąd zaś, gwarną drużyną, czyniono najazd na domostwa okolicznych ziemian. Z muzyką, z pieśnią wesołą wyruszał kulig ochoczo; sadzono się na świetne sianie, drogami zasłane futrami, na uprząże złociste, dywdyki wschodnie, stroje wspaniałe! Często kulig cały przywdziewał charakterystyczną odzież jakową, udając bądź wesele krakowskie, bądź żydów, bądź cyganów, bądź też wreszcie hordę tatarską. Hajducy z kagańcami smolnemi przyświecali w drodze. Część gromady rozbawionej w saniach, część konno, na perskich, arabskich i polskiej rasy biegunach, gnała z kopyta, trenem żarty, a gędźbą, a śpiewaniem drogę skracając. Przodem, o godzinę orszak wyprzedziwszy, pędził tradycyjny arlekin z trzepaczką w lekkich saneczkach, w bystrego kłusaka jednochorzca, zaprzężonych; arlekin ów wpadał, jak burza, do dworca, który najechać zamierzał, a skacząc po stołach i krzesłach, bił trzepaczką kogo napotkał, wołając na całe gardło: „Ej, kuligi! kuligi! kuligi!“ Tak uprzedzony gospodarz wytaczać kazał z piwnicy baryły starki litewskiej, beczki miodu trojniaku i wystalego węgrzyna, antały petercymentu i małmazyi; w stajniach obrok, choćby i na setkę koni grykować polecił, rostruchany, puhary, kusztiki, „kula-wki“ olbrzymie z kredensu dobywał i przywdziewszy żupan a kontusz odświętny i złotolitym opasawszy się pasem, rad czekał na miłych gości.

Jejmość pani tymczasem z córami, a z dzievkami służebnymi w kuchni rej wiodła, krzątając się około wieczerzy. Szły tedy z apteczki smakołyki domowej roboty, przyprawy, zapra-

wy, korzenie rozliczne: szafran, imbir, muszkat, smarzeniny z owoców ogrodowych i leśnych w bród było tam dostatków spiżarnianych o zapobiegliwości gospodniy znacznej przednio świadczących: Ptasiego jeno brakło chyba mleka!

A owe pieczenie i polędwice wołowe! a owe cąbry jelenie i sarnie! a owa mnogość zajęcy, ptactwa dzikiego, drobiu, ryb, legumin! a słodkie dania na wety: arkasy, blamasy, bianki, tortele, obermussy, talamazzy! a ktoby to wszystko policzył!

Policzyć jak policzyć, ale zjeść nie tak trudno będzie onej kalwakacie wesołej, co oto już z brzękiem a szczękiem przed dworzec zajeżdża!

W oknach światła nie wiele, bo gospodarstwo udawać muszą, że kulig niespodzianie ich zaskoczył: tego grzeczność starodawna wymaga koniecznie. Nic to jednak! radzi witają i pan i pani sypiących się hurmem gości: śmiech, gwar, szczebiot paniński, koncepty jowialnych staruszków, komplementy młodzi rycerskiej ożywiły zniemacka starą siedzibę szlachecką. W lot zapalono świece jarzące, na kominy ogromne drzew dorzucono smolnych i jaskrawy, przepyszny obraz oczy zachwycą: Czerwień, błękit, srebro, złoto, pióra strusie, kity czaple, drogie kamienie tęczowemi barwa i lśniące z maneli, z zausznice, z kanaków kosztownych, z guzów żupanów i kontuszów, z rękojeści karabel złożyły się na widok wspaniały.

Kapela kuligowa, otrzepawszy się ze śniegu i, na rozgrzewkę, po kielichu gorzałki wychyliwszy, brząkać poczyną ochoczo i znowa zabrzmiąły poważnego poloneza tony. Wije się wąż barwisty po sali: głowy golone, wąsy sumiaste, kołpaki na szablach, wyloty w tył; matrony w robionach, dziewice w kontusikach, futerkiem bramowanych cennem, warkocze po kolana, wstęgami krasnemi przetkane, oczy, jako gwiazdy, liczka, by lilie i róże!

Po „odbijanym“ dziarski mazur zahuczał, zadudnił. Starzy, miejsca w taneczku młodzieży ustąpiwszy, w bocznych komnatkach zasiedli. Ci prawia o łowach, o urodzajach, o cenie zboża w Gdańsku; owi *de rebus publicis* gawędzą, gorzkie nowiny słodkim zapijając miodem; insi jeszcze do kart się wzięli: grają w tryszaka, w ślepego maryasza czyli kiksa, w rumel-pikietę, w ćwika!

A owo już gospodarstwo do wieczery wzywa. Po tanach, po gawędzie, po grze miło zasiąść przy stołach, sutą zastawionych biesiadą, w kompanii znacznej, a krotofilnej. Zrazu jeno brzęk łyżek i nożów słyhać: je każdy a zapija! potem zasię dopiero, gdy niewiasty z młodzieżą, podjadłszy okwito, znowu do skoków się mają, jako, że to białogłowy, a smyki zawżdy na płasy one łase, potem dopiero męże dojrzali spełniają puhary mnogie, przyspięwując sobie dla uciechy, albolite rytmy i sentencyami trefnemi do kielichów się zachęcając.

A na końcu ucztę wyjmuje gospodarz z pudra puhar srebrny, dwukwartowy, bez nogi, z takowym napisem:

„Ludzie wzięli mi jedną, ja im lepiej zrobię, Bo za jedną swą nogę odejmę i obie!“

I wlawszy w olbrzyma flaszę wielką węgrzyzną puszcza go w kole. Krzepkie łyby, mościpanie, ma szlachta karmazynowa, alie i jej się po trzeciej kolejce zakurza czupryny, a oczy na sen się zwierać poczną; a i młodzież nahasała się do syta.—Spać pora!

W dwu tedy wielkich izbach siana świeżego na podłodze nasłano, kilimami przykryto: w jednej izbie pleć biała, w drugiej mężczyźni śpią pokotem do rana, a rano po barszczyku, po polewce piwnej i bigosie hultajskim hajda! w drogę dalej do pobliskiego dworu, gospodarza i gospodynę z konsolacją pospołu, w jasyr, jakoby tatarzyny, zabrawszy!

Kuligi takie przebiegały powiaty, ba! województwa całe! Okrom zabawy miały one i tę dobrą stronę, że łączyły w jedną gromadę, daleko nieraz od siebie mieszkającą, szlachtę. Zwasnieni godzili się, bywało, urażę topiąc w winie; możniejsi z uboższymi bratali się w wirze kuli-

gowej uciechy; niejedno małżeństwo doszło do skutku, wiążąc krewieństwem rodziny na dwu przeciwnych krańcach województwa mieszkające. Cały kraj bawił się, łączył ze sobą, porozumiewał się wzajemnie, jak jedna wielka rodzina. A na przyjaźń raz zawiązaną liczyć było można: sojusz taki trwał już do zgonu i splamił by lejnot szlachecki ktoby druha i pobratymca w niedoli opuścił!

Jak popularne były kuligi dowód w tem, że i Królestwo Ich mość udział w nich miewali niekiedy. W roku 1695 d. 20 Stycznia odbył się wspaniały kulig w Warszawie. Opisał go Ludwik Klermont, sekretarz Maryi Kazimiery. (Opis ten przedrukował „Kuryer Warszawski.“ 1827 r. N. 220, oraz Gołębiowski Łukasz w dziele swoim: „(try i zabawy).“ Wezwani goście zjechali się do pałacu Daniłowiczów, gdzie była później biblioteka Żałuskich. O trzeciej z południa trębacze dali sygnał i cały orszak wyruszył w następującym porządku: 24 tatarów konno ze służby królewicza Jakóba; dziesięcioro sań, każde zaprzężone w cztery konie *szyltem* t. j. koń za koniem, na każdym sankach inna kapela, a więc: żydzi z cymbalami, trębacze, ukraińcy z teorbanami, fajfry, janczarska muzyka i t. p. dalej jechało 107 sań, każde w czwórke; sanie pokryte były kobiercami drogimi lub lamparciami; lwiami, tygrysiami, sobolemi futrami; konie ustrojono w pióra, czuby, chwasty, kokardy, opony kosztowne, obok sań młodzież dworska konno jechała.

Na końcu w saniach w kształcie pegaza siedziało 8 młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze ułożone przez Ustrzyckiego i Chrościńskiego. (Chrościński, sekretarz królewicza Jakóba, poeta oryginalny i tłómacz Owidyusza i Lukana, Ustrzycki, opat mogiłnicki tłómaczył z łaciny z francuskiego i włoskiego). Oddział drabantów królewskich zamykał orszak.

Zajechano naprzód do dworu Sapieżyńskiego, potem do Radziwiłłowej, siostry Jana III-go, do wojewody Potockiego, do młodego Lubomirskiego, do Ujazdowa. Wszędzie tańczono chwilę i ruszano dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa „gdzie oboje Królestwo Ichmość byli gościom radzi z całego serca.“ Częstowano wszystkich, nawet służbę dworską, co trwało do późna. Cała kalwakata wracała przy pochodniach; tych było 800!

Fryderyk Szule, który zwiedzał Polskę w roku 1793 pisze w pamiętnikach swoich (wydanych w przekładzie w „Bibliotece pamiętników i podróży po dawnej Polsce.“ Drezno 1870. Nakład Kraszewskiego), że zimą przejażdżki sankami, kuligi były w Warszawie zabawą ulubioną... „Jak tu wszystko zbytkownie jest urządzone—opowiada Szule, nawiasem mówiąc haniebnie dla nas usposobiony,—tak też i sanie. Budowano je nader rozmaitemi kształty, wielce oryginalnymi i dziwaczными, na jedną, dwie cztery osoby, po większej części bogato lakierowane, z ozdobami bronzowemi, srebrnemi, złotemi. Podobierano do tego uprzęż, ozdoby, pokrycie koni i najlepsze ze stajni bieguny. Ozdobą, którą tu raz pierwszy widziałem, były u obu dyszlowych koni dwie długie sztuki jedwabnej kolorowej materii, gładkie lub w pasy, przytwierdzone z boków i umocowane do sani. Broniły one jadących od ciskania błotem i śniegiem, które podkowy końskie często chwytają, i wygładały przy prędkiej jeździe, jak rozpięte żagle.“

Zmieniły się czasy; o kuligach dziś ani słyhu; w książkach tylko starych zachowały się wspomnienia o nich, a w muzeach i skarbcach rodzinnych przechowują do dzisiaj owe sanie o dziwacznych kształtach opisywane przez żółciowego pana Szulca. Sanie takie były do niedawna, a może i są jeszcze na tutejszej wystawie starożytności. Ciekawy ten zabytek, pochodzący z 18-go wieku należał podobno niegdyś do Radziwiłłów.

Artur Oppman.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańska.

(Dalszy ciąg).

V.

W Bobrowicach panowała cisza i samotność, chorąży bowiem, udając się na elekcyę, zabral z sobą część służby, nakazując tylko Marcinowi, by dobrze pilnował domu.

Magdzia trochę z niespokojnością zegnała ojca, gdyż nasłuchawszy się, iż terazniejsza elekcyja będzie bardzo burzliwa, obawiała się, by nie był narażony na jakie niebezpieczeństwo.

— Głupstwo, nie masz się bać czego,—uspokajał ją chorąży.—Wy się tu tylko strzeżcie, bo teraz po drogach snuje się siła różnej hołoty.

W parę dni po odjeździe ojca, Magdzia wieczorem ujrzała na dziedzińcu jakiegoś człowieka, zajeżdżającego konno przed ganek. Poznała w nim dawnego sługę chorążego, Grzybowski, który obecnie gospodarował na własnym kawałku ziemi w pobliżniej wiosce. Odpowiedziała uprzejmie na jego powitanie, oznajmiając zarazem, że ojca niema w domu.

— Wiem ja to, że pana chorążego niema,—odrzekł Grzybowski z miną tajemniczą,—ale ja chciałbym z panną Magdaleną pomówić, bo tutaj niema czasu do stracenia.

— Cóż to takiego, mówcie, mój Grzybowski,—rzekła Magdzia, pewna, że idzie o własną jego sprawę.—W czem będę mogła, to wam pomogę.

— Toć ja wiem, że panienka dobra, pamiętam jak pan chorąży był raz na mnie zagniewany, to panienka wstawiła się za mną... Ale nie o to teraz idzie...

— A o cóż? Mówcie prędzej, mój Grzybowski.—rzekła Magdzia, zaniepokojona jego tajemniczą miną.

— Widzi panna, to trzeba od początku zacząć,—mówił Grzybowski, opierając się o ogrodzenie kwietnika, który Magdzia właśnie opieśla.—Trzeba pannie wiedzieć, że u nas przy gościńcu jest karczma, gdzie dużo przejeżdżnych się zatrzymuje, otóż i ja tam także zajrzę niekiedy. Nie dlatego, broń Boże, bym się z chamstwem miał pospolitować, bo zawsze pamiętam, że szlachcie z dziada pradziada,—i dlatego tylko nie pojechałem na elekcyę, że trudno ot, w tym kubraku pokazywać się ludziom, a niema za co sprawić nowego przed żniwami; lecz z innych Grzybowskich, sąsiadów moich, niejednego tam pojechał i dali słowo księdzu proboszczowi, że wszelkiemi siłami będą popierać pana hetmana, by nie dopuścić tego Szwaba na tron, a jak będzie trzeba, to i szabel dobędą...

— Ale to wszystko dobrze, mój Grzybowski; lecz mieliście mi coś powiedzieć.

— Niechże panna poczeka, trzeba wszystko „ab ovo“, jak się to mówi, bo dzięki Bogu liżnałem trochę łaciny kiedyś, i gdyby mój dziad, niech mu Pan Bóg tego nie pamięta, nie roztrwonil był fortuny na procesa z sąsiadami, to nie poszedłbym tak w poniewierkę. Otóż—co to ja mówiłem. Aha,—poszedłem dzisiaj do karczmy, ot, tak, nie mając co lepszego do roboty, bo w domu mi żona ciągle głowę suszy, że bieda, i łaje że pan chorążego porzucił,—toć to i prawda, że głupstwo zrobił, ale co babom mieszać się do tego? Otóż tak, powiem pannie, mi dokuczyła, że uciekł przed nią do karczmy. Było tam pełno, bo stanęły tam dwie chorągwie: pana wojewody poznańskiego i pana starosty zygwulskiego, co go ludzie zowią „dya-

blem; niech nas Bóg od nich strzeże, jak od powietrza! Krzyk, hałas, tartas, istne piekło! Do-cisnąłem się jakoś do drugiej izby, bo pierwsza była nabita i kazawszy sobie podać kwartę wódki, usiadłem w kącie. Już czegom ja się tam nasłuchał, to nie będę pannie powtarzać,—zgroza i nic więcej. Cóż dziwnego? wszystko to heretyki, co dyabłu duszę zaprzędali; niema u nich nic świętego; a co do pana wojewody,—dodał, głos zniżając,—to wszyscy wiedzą, że z dyabłem wchodzi w porozumienie i jego ludzie nie-lepsi,—jaki pan, taki kram... Nie mówiąc już o tem co wygadywali na pana hetmana i na innych panów, co z nim trzymają... bo to by chcieli swego Niemca posadzić, a pan hetman im nie daje. O, co nie dopuścimy do tego, to nie dopuścimy!... dwunastu Grzybowskiich to także coś znaczy,—a jak pan hetman każe, to dobrze mogą poturbować Zborowczyków!

— Ale coż dalej, mój Grzybowski, coż dalej?—przerwała Magdzia

— Mówilem już pannie, że siedziałem w drugiej izbie,—aż słyszę jeden z tych hultajów pyta żyda, czy dawno pan chorąży pojechał na elekcyę? hm, „czy dawno“ zaraz mi to zaciekawilo, bo co to ich może obchodzić, dawno czy niedawno? Położyłem się na ławce i udałem, że śpię. Aż tu patrzę a ich kilku wchodzi do tej samej izby i poczną się zmywiać, jakby napaść na dwór pana chorążego, że teraz bronić niema komu, bo połowa ludzi pojechała z panem. Byli tam ludzie pana Stadnickiego i pana Górki;—o ile mogłem dojść. Otóż jeden powiada, że trzeba napaść z nienacka, w nocy, bo się pewno strze-gą,—na to drugi: że wcale się tak nie strzegą, bowiem on zeszłej nocy podkraadał się aż pod sam dwór i nawet tego nie spostrzegli. Tak rozprawiając ułożyli w końcu, że muszą jutrzejszej nocy odwiedzić dwór pana chorążego, ile że od kogoś słyszeli, że ma dobrze zaopatrzoną piwnicę, więc trza się do niej dostać. Jak tego wszystkiego wysłuchałem, krew we mnie zastę-gła,—ale się nie ruszałem, by się nie zdradzić. Aż kiedy wyszło to hultajstwo, wstałem i po ci-chu wymknąłem się tylnymi drzwiami do stajni, tam osiodlałem zaraz konia, wsiadłem i oto je-stem, by pannę uprzedzić o wszystkim.

Magdzia zrazu skamieniała, szczegóły z jakie-mi Grzybowski podawał rzecz tę, nie dozwalały wątpić,—nie mogło mu się przesłyszeć a nie miał celu zmyślać.

Nie straciła jednak zwykłej przytomności umysłu. Gdy pierwsza chwila osłupienia minęła, kazała natychmiast wezwać do siebie Marci-na i w krótkich słowach powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od Grzybowskiego.

— A teraz, mój dobry Marcinie,—rzekła, skończywszy,—radście, co czynić? Niema czasu do stracenia.

— Prawdę mówi panienska, niema czasu, bo dwór trza opatrzyć i ludzi uzbroić na ich przy-jęcie,—odrzekł Marcin.

— Ale naszych ludzi zamało,—odparła Magdzia,—trzeba pobiedz do wsi i wezwać gospodarzy...

— Dzisiaj nie wiele zrobić można, bo to dzień jarmarczny, to wszyscy poszli do Kozaczowa, ale jutro rano skoczę na koń zwoływać ludzi, bo my sami nie damy rady.

Magdzia następnie zwróciła się do Grzybo-wskiego, który stał w milczeniu, podziwiając, że nie straciła wcale przytomności.

— Mój Grzybowski, nigdy nie zapomnimy wam, ani ja ani mój ojciec, tej przysługi jakąście nam dziś oddali i proszę was zarazem o jesz-cze jedną...

— Co, panienko? — zawołał z pośpiechem Grzybowski.—Jestem na usługi i zrobię wszystko co panienska każe, choćby trza było jechać na koniec świata.

— Nie tak daleko,—rzekła Magdzia z uśmiechem,—wróćcie tylko do Grzybowa i zbierzcie na jutro całą szlachtę, waszych sąsiadów, którzy pozostali w domu. Posłałabym do innych dworów ale wiem, że wszyscy udali się na elekcyę, byłby to więc trud daremny. Spodziewam się jednak, że panowie Grzybowscy, jako prawdziwa szlachta, pośpieszą na ratunek bezbronnym

niewiast, które do nikogo innego udać się nie mogą w tej chwili po opiekę.

— A jakże! — zawołał Grzybowski z zapa-łem.—Gdzieżby inaczej? Każdy Grzybowski uważałby się za infamisa, gdyby nie pośpieszył na podobne wezwanie. Daję paniencie słowo szlacheckie, jakem Grzybowski, tak jutro stanie tutaj z dziesięciu moich jednoherbownych, gdyż więcej nie zbiorę, połowy niema w domu,—zo-stały tylko same chudziaki, reszta pociągnęła na elekcyę. No, ale że już tego Niemca nie dopusz-czę, to pewno, bo już jak Grzybowscy się zawe-zmą, to dopną niezawodnie swego.

I z temi słowy zacny pan Grzybowski wsiadł na konia i pojechał do Grzybowa, by spełnić zle-cenie Magdzi.

Nazajutrz od rana we dworze powstał ruch. Marcin pojechał do wsi, zwoływać ludzi, cała zaś służba, pozostała w domu, poczęła wynosić ze schowków broń rozmaita. Nie obeszło się bez krętaniny i hałasu; ludzie zrazu potracili głowy, zwłaszcza, że nie było Marcina, któryby nimi zarządził. Kobiety biegały, wydając jęki rozpaczliwe, które jak krzyki ptaictwa, zwiastują zwykle burzę.

Jedna Magdzia nie straciła głowy. Zrazu zda-ła wszystko na ludzi, w przekonaniu, że lepiej niż ona rozumieją się na rzeczy, wprędce jednak spostrzegła, że nie z tego nie będzie, wszyscy bowiem chodzili jak bezprzytomni. Idąc więc za popędem wrodzonej energii, sama, nie wie-dząc o tem, stanęła na czele przygotowującej się obrony domu;—nie dawała rozkazów, ale tak jakoś umiała nasuwać każdemu, co ma czynić, że rzeczywiście oprzytomniła służbę i przypo-mniała jej obowiązki; sami wszystko robili a zdawało się im, że ktoś się nimi rozporządza i tego było dość, bo większości ludzi zwykle zdawać się musi przynajmniej, że ktoś nad nimi stoi, by czegokolwiek dokonać.

Nad wieczorem przybył Marcin, wiodąc ze so-bą siwego sołtysa i ze dwudziestu gospodarzy; zastał we dworze wszystko zrobione i dowie-dział się, że to „panienka zarządziła.“

— Otóż dopiero panienska mi pomogła,—rzekł do Magdzi.—Już to właśnie łamałem sobie głowę nad tem, że tam bezemnie nic się nie robi we dworze, a tu jeszcze i we wsi dłużej zabawić się było trzeba, bo ludzie byli na polu, przy ro-bocie,—tymczasem panienska tak dobrze się roz-porządziła, że i nie trza lepiej.

Tu zbliżyli się włościanie a stary sołtys, zdejmując czapkę, rzekł do Magdzi:

— Marcin nam powiedział, że chcą napaść na dwór pana, no, tośmy wzięli siekiery i przy-słisza was bronić. Kiedy pana chorążego niema w domu, to jużna nas stoi bronić jegodziecka. My wam nie damy krzywdy zrobić i będziewa się bić za was, gdy na was kto napadnie.

— Tak, będziewa się bić za was!—powtórzyli inni.

Magdzia ze łzą w oku i z uśmiechem podzię-kowała za tę gotowość. Uczuła się teraz jakby wśród rodziny; i rzeczywiście, starzy wieśniacy patrzyli na córkę swej dobrej pani jak na wła-sne dziecko, obchodząc się z nią z jakąś serdecz-ną poufałością.

Odpowiedziała też na przemowę wójta, że od-dawna wiedziała, że na nich można liczyć w każ-dej złej godzinie, i dlatego do nich się udała; że się zupełnie oddaje pod ich opiekę, pewna, że ją bronić będą od wszelkiej krzywdy. Młode dziewczę posiadało miłość ogólną tak pomiędzy służbą jak i pomiędzy wieśniakami, wzrosła bo-wiem na ich oczach, a przytem wszyscy znali jej dobre serce i skoro tylko ktoś z ludzi coś przeszkobał i bał się gniewu chorążego, zaraz udawał się pod opiekę Magdzi, która dopóty prosiła, aż zdołała prześlagać ojca dla winnego.

— Toć to sierota, kumie,—mówili między so-bą rozczuleni chłopcy.—Pan Bóg ciężko każętych co krzywdzą sieroty, a Najświętsza Panienska jest matką tych wszystkich, co matki nie mają; sam ksiądz proboszcz mówił to kiedyś...

— A pani nieboszczka—toć to był istny anioł w ludzkim ciele,—mówił inny.—Drugiej takiej pewnie nie znajdzie.

Wszystko też poszło inaczej po ich przybyciu. Stary sołtys człek rozsądny i doświadczony, na-tychmiast rozporządził, by bramy zatarasowano, sam opatrzył dwór od strychu do piwnicy, a skoro wieczór nastał, pozamykał okna grubemi, dębowymi okienicami, które mogły wytrzy-mać najsilniejsze uderzenie siekiery.

Nareszcie noc zapadła; wszystko we dworze uspokoiło się zupełnie. Magdzia, kazawszy roz-dać włościanom po czarce miodu, poszła sama spocząć nieco do swej komnatki.

Była w stanie dziwnego podniecenia, niedo-zwalającego jej usiedzieć w miejscu;—korzysta-jąc, że jedno jeszcze okno nie zostało zamknięte okienicą otwarła je, wystawiając czoło na świe-ży wietrzyk wieczorny. Dokoła było już zu-pelnie ciemno, księżyc co chwila krył się za chmury, liście na lipach szeleściły lekko, w dali, na łące nadrzecznej żaby rehotwały na zabój. Na dziedzińcu głosy rozmawiających to wznosiły się, to opadały do szeptu, włościanie bowiem rozłożyli się pod gołym niebem i żeby nie zasnąć, rozmawiali półgłosem.

W komnacie było ciemno również, tylko lampka przed obrazem migotała słabym bla-skami; w dalszych gdzieś komnatkach paliły się światła i słychać było szmer modlitwy; to pani Katarzyna zgromadziła do sali jadalnej wszystkie dziewczki, które chroniły się pod jej opiekę jak kurczęta pod skrzydła kokoszy, i odmawiały razem koronkę do Przemienienia oraz litanię do Najświętszej Panny.

Magdzia ukłękła także przed obrazem i krótka lecz gorąca modlitwa popłynęła z głębi jej duszy. Zaledwie wstała z klęczek, kiedy wszedł sołtys z Marcinem, by zatarasować okno w jej pokoju.

— Marcinie, czy Grzybowski nie przybył?—spytała Magdzia.

— Niema go jeszcze, panienko,—odparł Mar-cin.

— Niech panieneczka będzie spokojna, damy sobie radę i bez tej szlachty,—rzekł stary wójt.

Wśród tego oczekiwania przeszło parę go-dzin. Z sali wciąż słychać było głuchy szmer modlitwy, a niekiedy głośniejszy, z westchnieniem wypowiedziane: módl się za nami, dochodziło aż tutaj. Zresztą dokoła panowała cichość, tak, że napastnicy mogli być przekonani, że wszyscy śpią we dworze.

Właśnie na wielkim, gdańskim zegarze, wi-szącym w sali, wybiło pół do dwunastej, gdy na gościńcu dał się słyszeć oddalony tentent. Na dziedzińcu ludzie się pozrywali, chwytając za broń i nastawiając ucha. Tentent się przybliżał i wzrastał; widocznym było, że wali liczna groma-da jezdnych,—nie był to więc Grzybowski, który w najlepszym razie nie mógł przyprowa-dzić więcej nad kilkunastu ludzi.

Słychać było jak jeźdźcy zatrzymali się przed bramą i poczęli walić w nią co sił, a głos jakiś pijany wołał: „Otwieraj, bo bramę wysadziem!“

Poczem znów usłyszano hałas i dobijanie się.

— Otwieraj, bo będziemy strzelać! — powtó-rzono znowu.

W tej chwili kilka strzałów huknęło, jak błyskawicą przerywając ciemność.

Odpowiedziano im w tenże sam sposób z po-dwórza.

Pani Katarzyna i cała gromada dziewczek wpa-dły do komnaty Magdzi, krzycząc przeraźliwie na różne głosy i łamiąc rozpaczliwie ręce:

— O la Boga, — wołały dziewczki piskliwie, — już przyszli, już są na podwórzu!

— Drzwi załóżcie!—krzyczały inne,—oni już są przed gankiem.

Tymczasem do komnaty wsunął się Walek mazur i stanawszy przed Magdzą, rzekł, drapiąc się w głowę:

— Jabym... tego... żeby panienska mi jedną łaskę zrobiła...

— Cóż takiego... mów, mój Walku.

— Oto żebym ja już panienki nie odstąpił.—mówił, mnać czapkę,—bo to... kto go tam wie... może, uchowaj Panie... to lepiej żeby kto wciąż pilnował.. Ja bardzo panienkę proszę... Pa-nienka taka dobra, nie pozwałała się ze mnie

wysmiewać ludziom dworskim... jabym za panienkę w ogień.

— Dobrze, mój Walku, — rzekła Magdzia wzruszona, kiedy już tak bardzo chcesz, to zostań, będziesz mię bronił i wiem, że nie dopuścisz nikogo tutaj.

Walek, dumny z zaufania, wyprostowany jak sztyldwach, rusznicę oparłszy o ścianę, stanął z miną taką, jakby świat cały wyzywał do walki.

Pani Katarzyna tymczasem chodziła, ręce łamiąc:

— Boże, Boże, oni tam pewnie do piekarni się już dostali a tam moje kurczęta; piętnaście kwoczek z kurczętami! O, rety, wszystkie poduszki! Najświętsza Panno, ratuj że nas! Przepadnie moja praca!

W tejże chwili rozległ się trzask i łomot okropny, widocznie bramę wysadzono i wkrótce na podwórzu zatętniało, aż szyby zaczęły dzwieć.

Napastnicy wdarli się na dziedziniec.

— Walek, na rany Chrystusa, nie daj mnie! — wrzasnęła jedna z dziewczek, ogromnego wzrostu i szeroka w plecach, prawdziwy hajduk w spodnicy, któraby trzech chłopów położyć mogła.

— No, czego krzyczysz, czyś się wściekła? — mruknął Walek obojętnie.

Drzwi od wejścia otwarły się z hałasem i cała gromada obrońców wtoczyła się z podwórza do sieni, zatraskując za sobą podwoje, które zatarasowano natychmiast. Nad drzwiami znajdowały się strzelnice i kilku, stanawszy na ławach, nie przestawali strzelać, podczas gdy inni bronił im nabijali i podawali. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu obrońców, napastnicy nagle zaprzestali szturmować do wejścia i zdawało się, że się oddalają.

— Uciekają, uciekają! — rozległy się radosne głosy.

— Ej! czy to nie zasadzka jaka! — mruknął sołtys niespokojnie. — Maciek, a wleż no na strych i zobacz gdzie są?

Posłany parobczak poszedł spełnić zlecenie. Wszyscy z niepokojem oczekiwali jego powrotu. Po jakimś czasie powrócił, mówiąc:

— Rozbili piwnicę i wytaczają teraz beczki z winem na podwórze.

— Bestye, zachciało się im naszego wina! — mruknął jeden ze starych sług.

— Niechaj piją niech się na śmierć pozapiją! — rzekł sołtys.

Na podwórzu słyhać było pijane śmiechy i okrzyki; widocznie raczono się winem z piwnicy.

Nagle na drodze znów zatętniało. Wszyscy zapanili oddech, nasłuchując, byłaby to spodziewana pomoc? Tak, niema żadnej wątpliwości, już się zbliżają, już są: „Posiłki nam przybywają!” zawołano radośnie.

Marcin wbiegł do komnaty:

— Panienko, — zawołał, podnosząc głos, aby być dosłyszanyym wśród chóru lamentujących na różne tony dziewczek, — panienko, Grzybowski prowadzi nam posiłki!

Jęki i krzyki umilkły, jakby czarem. Magdzia stanęła w progu, chcąc się lepiej wypytać, gdy na podwórzu powstał hałas okropny i słyhać było, że liczny oddział jezdnych wpadł nagle na napastników.

— Dalejże na nich! — krzyknął wójt, — pomóżmy tamtym!

I wszyscy wypadli na dziedziniec.

Pozostałe kobiety słyzały jeszcze przez jakiś czas krzyki, hałasy i tentent; słyhać było jak nowoprzybyły oddział ścigał dokoła dworu napastników, strzały padały bezustanku, aż wreszcie wszystko zaczęło się gdzieś oddalać i w końcu ścichło zupełnie. Kobiety nasłuchiwały z bijącymi sercami, nie śmiejąc przerywać milczenia. nie dowierzając swoim uszom, że napastnicy już odeszli.

Magdzia, złożywszy ręce, stała pełna oczekiwania, aż oto znów dał się słyseć tentent i we sole okrzyki włóścian powracających. Drzwi otwarły się gwałtownie i ktoś wbiegł do sieni, wołając:

— Gdzie panienska? Gdzie Magdzia?

Dziewczę postąpiło parę kroków i zachwiało się, lecz silne ramię ją podtrzymało. Przy niej stanął pan Jan, pytając niespokojnie:

— Co ci jest siostrzyczko? Drżysz cała...

— Nic, nic, to tak z radości! — odrzekła i zmęczona tylu wrażeniami, płacząc oparła głowę na jego ramieniu.

— Teraz płaczesz, siostrzyczko, — rzekł pan Jan, gdy się nieco uspokoiła, — ale ja wiem wszystko, Marcin mi powiedział: byłaś dzielną niewiastą.

Magdzia się zarumieniła i zaśmiała:

— Nie wiem czy byłam dzielną, bo nie nadzwyczajnego nie czyniłam.

— Tak, nie strzelałaś, nie zabijałaś, z czego się bardzo cieszę, ale wykazałaś przytomność i moc duszy w niebezpieczeństwie. Nie spodziewałem się nawet, że ta mała Magdzia, którą miałem za dziecko jeszcze jest do tego zdolną.

— A widzisz! — odrzekła Magdzia z uśmiechem. — Ale powiedz-że mi, jakim sposobem dowiedziałeś się o tem, co się z nami dzieje?

— Spotkałem na drodze Grzybowskiego. Byliśmy właśnie koło Markuszewa, bo tam miałem się połączyć z innymi chorągwiami pana Jazłowieckiego, jadącemi na elekcyę, kiedy ujrzałem go pędzącego gościńcem i odrazu poznawszy, kazałem żołnierzom stanąć. Opowiedział mi, że chłopci uwiadomili go, że jestem w tej okolicy i dlatego wpadł na myśl, żeby mię wezwać na pomoc. Pochwaliłem go, że mu tak mądra myśl przyszła do głowy i nie czekając aż mi wedle swego zwyczaju, zacznie dalej wykladać wszystko dokumentnie... kazałem żołnierzom zawrócić i pędzić co tchu do Bobrowic. Dzięki Bogu przybyliśmy w porę, — skończył, oddychając mocno.

— Poczciwy Grzybowski, — rzekła Magdzia, — o wszystkim uprzedził nas, — gdyby nie on...

— I teraz przywiódł z sobą kilku szlachty, swoich sąsiadów, — rzekł pan Jan, — przybyli z nami tutaj.

— Boże mój, jacy to wszystko poczciwi ludzie, nie wiem sama, jako mam im dziękować. Muszę wyjść do nich, przecież tu teraz gospodynią.

I wyszła do sieni, za nią pan Jan. Stało tam wraz z Grzybowskim pięciu jeszcze jego jednoklejnowników; wszystko biedaki, w szaraczkowych, wytartych kubrakach, ale każdy z szablą u boku. Byli nieco onieśmieleni ukazaniem się Magdzi, która skinęła im wdzięcznie główką mówiąc:

— Bardzom wdzięczna waszmościom za to, iż pośpieszyliście na ratunek bezbronnych niewiast, okazując tem, że prawdziwie szlachecki sentyment żywiec w sercu. Mój ojciec dozgonną wdzięczność zachowa dla panów braci za takowy zacny postępek, a ja mam nadzieję, że waszmościowie nie odmówicie pozostać tu jeszcze do jutra, by wypocząć po owej nocnej jeździe, przedsięwziętej w celu naszej obrony. Natychmiast każę podać posiłek, ku pokrzepieniu waszmości.

Szlachta skłoniła się, milcząc, jak jeden człowiek, miętosząc czapki w rękę, a niektórzy zasłaniając niemi dziury, jakie mieli na polach swego ubrania. W miarę jednak przemówienia Magdzi rośli widocznie, i spoglądali jeden na drugiego, radzi za tak głośne uczczenie ich szlachetnej kondycyi.

Pan Jan patrzył także na śliczną siostrzyczkę, gdy rezolutnie jakoś i dwornie wypowiadała owe słowa i dziwił się w duchu, że umie się tak znaleźć w każdym wypadku. On również podziękował w kilku słowach panom braciom za siostkę, a gdy oboje wyszli, jeden ze szlachty rzekł:

— Dopiero panna! — jak cukierek, a mądra, że i księdza proboszcza w kozi róg by zapędziła!

Wkrótce też w sali zastawiono dwa długie stoły, przy jednym zasiedli chłopci a przy drugim szlachta, bo Magdzia obawiała się, by nie obrazić panów braci, sadzając ich razem z chłopami, chociaż przynajmniej na ten zaszczyt zasłużyli za dzisiejszą mężną obronę. Żołnierzom także kazała na podwórzu wytoczyć beczki miodu i wódki, których rabusie jeszcze niezdolali wy-

pić zupełnie; wszyscy też pili i byli zadowoleni z przyjęcia.

Magdzia ze łzami w oczach dziękowała staremu sołtysowi i reszcie gospodarzy i obchodząc z bratem obydwa stoły, sama im nalewała wina i miodu. Wieśniacy wypili za zdrowie panienci i panicza, życząc żeby ich Bóg zachował w najdłuższe lata, a Grzybowski podszedł do Magdzi, mówiąc:

— A co, panno Magdaleno, czym niedotrzymał słowa?

— To wy, mój Grzybowski? — rzekła Magdzia, obracając się, — jeszcze wam nie podziękowała, a to przecież wy najwięcej zrobiliście, boście uprzedzili o niebezpieczeństwie, niech was Bóg wynagrodzi za to. W tej chwili nie mogę wam niczem odwdziżyć się, ale w imieniu mego ojca, który wiem, że to potwierdzi, proszę byście do nas wrócili, jeżeli to dla was dogodnie, a będziecie uważani nie jak sługa a jak przyjaciel.

Grzybowski ucałował jej rękę:

— Oto mi dopiero panna dogodziła, — zawołał, — nie będzie mi moja baba suszyła mózgu od rana do nocy. A to wciąż mi trąkocze nad głową, żem kiep, bom takiego dobrego pana porzucił.

Walek także otrzymał z ust Magdzi kilka słów serdecznych, z czego był tak dumny, że chodził nadęty jak paw.

— Ależemy ich dobrze poturbowali, prawil przy stole rozpromieniony Grzybowski. — Jakiśmy się uwinęli z panem porucznikiem, to to hultajstwo umykało przed nami jak owce, kilku też zostało tam na drodze. Nie chwalący się dosyć ich napłatał, bo Grzybowscy mają dobre szable i wiem, że na elekcyi staną one w przygodzie panu hetmanowi; bo jakieśmy raz powiedzieli, że nie dopuścimy tego Niemca, to nie dopuścimy, choćby panowie Zborowscy stawali na głowie... Oj, poznają ich adherenci co to szable Grzybowskich!

— A ilu Grzybowskich pojechało na elekcyę? — spytał pan Jan z uśmiechem.

— Dwunastu, panie poruczniku, — odrzekł Grzybowski.

— Ano, to Zborowczyki będą mieli robotę, jeżeli wszyscy Grzybowscy tak dzielnie się biją, jak waszmościowie tej nocy, — odrzekł pan Jan, wciąż uśmiechając się. — Myślę jednak, że waszmość nie rąbałbyś się ze mną, gdybyśmy się spotkali z sobą na elekcyi, choć należymy do przeciwnych partyi.

Grzybowski się zmieszał na te słowa, przypomniawszy sobie dopiero w tej chwili, że rozmawia ze stronnikiem Zborowskich; ale uspokoił się, skoro ujrzał uśmiech na jego twarzy i odrzekł z godnością:

— Gdzieżbym ja pana porucznika zaliczał do Zborowczyków, przecie tamto rabusie, hultaje, istna hołota, jednym słowem, — pan porucznik zaś pochodzi z tak zacnego domu... przecie to byłby despekt.

— Pięknie waszmość traktujesz senatorów Rzeczypospolitej...

— Jakto, panie poruczniku?

— Wszak panowie Zborowscy, pan Górka, kardynał Radziwiłł, prymas, wszystko to są senatorowie i wysocy dostojnicy, a waszmość ich nazywasz hołotą.

Grzybowski zmieszał się tak, że aż gębę otworzył, a pan Jan odszedł trochę ubawiony a trochę urażony jego naiwnością.

Magdzia zaś, chcąc zatrzeć wrażenie, rzekła do szlachty:

— Mężtwo waszmościów dorównywa tylko ich uprzejmości.

— Robiło się co mogło, — odrzekł Grzybowski z ukłonem. — Przecie to nic wielkiego przyjsz w pomoc sąsiadowi i do tego bratu sąsiadowi.

Reszta szlachty pokręcała wasy z wojowniczą miną i spoglądała za nią z zachwytem, skoro się oddalała.

— Boże, jakżem okrutnie zmęczona! — zawołała Magdzia, rzucając się na krzesło w pokoju chorążego. — Ledwie wiem, że żyję!

— Bo też to straszna noc była dla ciebie, —

rzekł pan Jan. — Boję się pomyśleć o tem, co by było, gdybym się z Grzybową nie spotkał...

— Lepiej nie mówmy o tem, — rzekła Magdzia, przytykając oczy. — Powiedz mi raczej co o sobie.

— Cóż ci mam rzec? Nic się nie zmieniło od czasu ostatniego naszego widzenia.

— Zawsze więc ma być tak jak jest? — rzekła Magdzia ze smutkiem.

— Więc myślałaś, że zmienię to, com raz postanowił? Sądziłaś, że jest jak owa chorągiewka na wietrze? — odrzekł z pewną urazą w głosie. — Wszak jeśli stawiał czoło gniewowi stryja, tracąc przez to nawet jego życzliwość, którą cenił wyżej niż wszelkie inne dobra na świecie, to musiały być jakoweś ważne przyczyny, dla których nie mogłem cofnąć się z obranej drogi. Może i stryj ze swej strony miał słusność; nie idzie jednak za tem, żebym ja miał żałować, że dochowałem wierności staroście śniatyńskiemu, do czego mię powinność i cześć zmuszały.

Magdzia westchnęła, bo poznała, że nadzieje jakie miała, spełzły na niczem. Sercem czuła, że on oddał się coraz bardziej; wyraz jego twarzy, więcej nawet niż słowa przekonywały ją o tem. Zauważyła że patrzył na wszystkie znajome mu przedmioty, jakby mu miło było znów się wśród nich znajdować, ale zarazem jakby żegnając je, przed wstąpieniem na nową jakąś drogę.

Tymczasem noc letnia miała się już ku końcowi. Do okien zaczął zaglądać błękitny świt. We dworze gwały ucichły, bo chłopcy odeszli do wsi a służba pokładła się spać, tylko na podwórzu słyhać było kroki żołnierzy, wiodących konie do pojenia. Zdaleka dochodziły słowa piosenki, śpiewanej przez jednego z nich:

Moja mateńko, moja rodzona, pieczę już kołaczę,
Niechże ten Jasieńko daremnie u drzwi nie kołaczę.

Magdzia znużona bezsennością, przymknęła oczy i zapadła w stan półsnu, z którego zbudził ją dopiero odgłos trąbki, rozlegający się na dziedzińcu. Drgnęła i otworzyła oczy; przed nią stał pan Jan, na podwórzu zaś ujrzała całą chorągiew już uszykowaną i gotową do drogi.

— Jakto, jedziesz już? — zawołała z żalem.

— Muszę, siostrzyczko, już i tak dość czasu straciliśmy w drodze, — teraz trzeba nam dopędzić inne chorągwie, które ruszyły pod Wolę, by nie spotkać się z naganą za opieszałość.

Słońce już zeszło i obrzuciło pękiem złocistych promieni cały ten zbrojny hufiec, gotów do wyruszenia. Konie niecierpliwie grzebały kopytem ziemię.

— Bóg wie, kiedy się znów zobaczymy, — rzekł pan Jan, ściskając rękę Magdzi.

— Byleś tylko nie zapominał o nas, — szepnęła, podnosząc ku niemu oczy pełne prośby.

— Więc mię posądzasz, że mógłbym zapomnieć? — odrzekł z wyrzutem. — Dawniej lepiej o mnie trzymałaś, Magdzu.

Chciała powiedzieć mu: „Boś ty dawniej był nie taki, jak teraz,“ ale się powstrzymała i tylko westchnęła.

On popatrzył na nią długo w milczeniu, potem podszedł do konia, czekającego przed gankiem.

— Bądź zdrowa, — rzekł raz jeszcze i ruszył z miejsca.

Wkrótce cały hufiec znikł w tumanach kurzu, unoszących się na gościńcu.

(Dalszy ciąg nastąpi),

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 1 Lutego.

Kwestya kobieca jest obecnie na porządku dziennym we Francyi. Przyglądając się bliżej miejscowym stosunkom, należy przyznać, że nie jest ona wynikiem przechodniej mody, lecz zrodziła ją rzetelna potrzeba.

Istotnie, fakt to charakterystyczny: Francya, naród, który przodował zawsze całemu światu na polu sztuki, literatury, nauki, reform socyalnych, na punkcie stanowiska kobiety w społeczeństwie pozostał niezmiennie w tyle, i stosunki powstały takie same, jakimi były przed Wielką Rewolucją.

Jak się przedstawia dzisiejsza francuska? Nazewnątrz: wiele ujmującego wdzięku, wrodzone poczucie piękna, wysoki dar podobania się, — zaś w duszy: umysł płytki, zupełny brak wykształcenia, nader niedostateczne pojęcie głębszych stron życia. „Istoty o ptasim mózgu,“ podług wyrażenia Zapolskiej.

Niedawno pani Marya Szeliga, która jest jedną z najzarliwszych kierowniczek paryskiego feminizmu, mówiła mi o swych zabiegach.

— Nasze usiłowania, celem podniesienia godności i stanowiska kobiety w społeczeństwie, spotykają się we Francyi z bardzo ciężkimi przeszkodami. W mniej zamożnych klasach kobieta jest tak obciążona pracą, że po za powszednimi kłopotami nie chce o niczem myśleć.

Panie zaś z bogatszych sfer przejęte są nade wszystko blahostkami salonowego życia. W ogóle, tutejsza kobieta jest bardzo niedostatecznie przygotowana umysłowo, przejawia w skutek tego często tylko zewnętrzną stronę naszych idei, nie rozumiejąc ich treści, — i staje się śmieszną, a sprawie naszej najniesłuszniej przysparza wrogów. Kobieta w Norwegii, Szwecyi, Finlandyi Rosyi, stoi pod względem intelektualnym nierównie wyżej. W takiej Norwegii, na przykład, walkę przeciw alkoholizmowi podjęły — i wygnały go wyłącznie kobiety. A komu zawdzięczają zupełne zniknięcie pauperizmu w Szwecyi, jeśli nie energii dzielnych szwedek?...

Jeśli nie zawsze możemy się godzić z nazbyt rewolucyjnymi aspiracyami niektórych agitatorek, które, żądając np. dla kobiet praw politycznych, chcą obalić cały obecny ustrój społeczny, to musimy jednak sympatyzować z temi żądaniami, które są słusne i sprawiedliwe. Przedewszystkiem zaś we Francyi musi być podniesiony ogólny poziom wykształcenia kobiet. W skompiłkowanych warunkach dzisiejszego życia kobiecie nie wystarcza wdzięk i dobre serduszko, potrzebny jest także umysł dobrze rozwinięty. Bohaterki Gyp'a bawią nas i rozweselają, jeśli zaczniemy jednak nad niemi rozmyślać, nie uczujemy do nich głębszej sympatii. Nie pragnęlibyśmy zaś już z pewnością, aby takimi były nasze matki, siostry, żony.

A potem, — i kodeks francuski przedstawia wiele braków. Prawodawstwo tutejsze nie uważa kobiety za jednostkę cywilną i biedna robotnica, która cały tydzień ciężko pracuje w fabryce, nie ma prawa odmówić swego zarobku mężowi, choćby ten chciał go przepić i przehulać, kobieta nie ma prawa stawiać do żadnych aktów jako świadek, nie może należeć do rad familijnych — i to było już powodem ciężkich dramatów rodzinnych.

Naród francuski jednak, jak wiadomo powszechnie, wyróżnia się silnym rutynistycznym konserwatyzmem. Niełatwo będzie osiągnąć pożądane reformy społeczne w sprawie, do której właściwa strona interesowana: kobiety — nie zupełnie jeszcze dojrzała. Prawodawca w tym wypadku zwykł iść ręką w opinia ogółu, ogół zaś nie jest temu prądowi zbyt przychylny.

Istnieją w tym kierunku jeszcze bardzo mocno zakorzenione przesady. I tak np., choć już nikt

nie powątpiewa o dobrodziejstwach, oddawanych przez kobiety lekarki, to jednak w Paryżu wzięcie ich jest nie wielkie i stosunkowo bardzo mało francuzek poświęca się medycynie. Ważnym krokiem naprzód była decyzja Paryskiej Rady Muncypalnej, aby w szkołach państwowych dla starszych panienek (od 12 lat) lekarzami tych zakładów naukowych były wyłącznie kobiety. Jestto rozporządzenie nader słusne, bo dla młodej panienki, w tym niebezpiecznym wieku przesilenia, opieka kobiety jest nierównie właściwszą niż mężczyzny, względem którego dziewczynka odczuwa zawsze pewien wstyd i niezawsze jasno wyjawia swe niedomagania.

Czyż nasze pensjonaty i żeńskie zakłady naukowe nie powinny iść za tym przykładem?

Popularności sprawy kobiety najbardziej, mojem zdaniem, szkodzi fanatyczne agitatorki, które trzymają się zasady: „trzeba żądać wiele, aby otrzymać choć trochę,“ i niewykonalnością swych żądań odstręczają często poważnych ludzi. Ale nie można zaprzeczyć, że wszczęcie tego ruchu ma strony korzystne, pobudzi młodą generację kobiet francuskich do szukania głębszej wiedzy, która znowu da im inne zrozumienie moralnych prawd życiowych.

O ileż wyżej stoi kobieta polska! Prawda, my mamy inną historję. We Francyi, po za świetlaną postacią Joanny d'Arc, zarówno w dziejach politycznych jak społecznych kobieta odgrywa rolę nader nieznaczną — i najczęściej niewdzięczną. W Królestwie Polskiem natomiast kobieta była zawsze niezmiennie szanowaną, kierowała domem, kierowała wychowaniem dzieci.

Mąż służył krajowi radą, żona sterowała domowym ogniskiem. Dzisiaj przeciętne wykształcenie polki jest nierównie wyższe od wykształcenia francuski. Może ta ostatnia, zwłaszcza w średnich sferach, ma więcej wiadomości praktycznych, ale razi za to niesłychaną ignoracją w kwestjach humanitarnych, brak znajomości obcych języków nie pozwala jej poznać literatury i życia innych narodów, zacieśnia horyzont jej myślenia.

Poważna „Revue de France,“ pragnąc zaznaczyć ten przełomowy ruch w sprawie kobiet francuskich, poświęciła ostatni zeszyt wyłącznie autorkom kobietom. Obszerny ten tom przedstawia się niezwykle zajmująco. Złożyło się nań kilkadziesiąt kobiet, których nazwiska przeważnie są dobrze znane czytającej publiczności.

Większość — to poetki i literatki, które używają pióra tylko dla celów sztuki, nie potracając głębiej o żadne zagadnienia społeczne. Spotykamy wśród tych utworów kilka nader udatnych obrazków i noweli, parę utworów poetycznych wyższej wartości. Między innemi rodaczka nasza p. Marya Krysińska dała dwa stylowe „staroświeckie tańce,“ których wdzięczny rytm przenosi nas do wytwornej epoki króla-słońca.

P. Helena Vacarescu, niedoszła małżonka następcy tronu rumuńskiego, w pięknym wierszu p. t. „Zapomnienie“ maluje uczucie bezmiernej tęsknoty...

Nas wszakże więcej zajmują głosy kobiet, zabierane w kwestyi żywej, tem bardziej interesują, że Revue de France, utrzymując się na stanowisku absolutnej bezstronności, nie odmówiła swych szpalt najbardziej odmiennym zapatrywaniom.

A jak się różnią te sądy! Oto pani Szeliga zaznacza, że w dziejach przeszłości kobieta odgrywała poważną rolę — dla czegoż postępowy wiek dziewiętnasty nie chce dopuścić płci pięknej do współudziału w pracy społecznej? Pani Pognon, prezydentka ligi dla prawa kobiet, idzie dalej i twierdzi, że jeśli we Francyi praca i własność kobiet są obciążone temi samymi podatkami co i mężczyźni, to kobiety, ponosząc ciężar jednakowych obowiązków, powinny mieć również we wszystkim jednakowe prawa. Panna Chauvin, ta sama, która napróżno dotąd kołata do Izby Adwokatów, woła śmiało: kobiety są równe mężczyznom sercem i uczuciem, myślą i rozumem, dlatego też chcą mieć równą połowę praw w rodzinie i w społeczeństwie.

A do pracy nad otrzymaniem tych praw tak

zachęca Miss Mand Gonnet. Nie trzeba zrażać się, należy być obojętną na niewdzięczność i oszczerstwo, mieć zawsze wiarę w słusność broniącej sprawy...

Innemi słowy przemawia pani Bequet de Vienne, która wskazuje jako najwłaściwsze i najpilniejszej potrzeby pole działalności dla kobiet—opiekę nad biednymi i nieszczęśliwymi. Pani Leonia Rouzad utrzymuje, że przedewszystkiem biedne matki potrzebują troskliwej pieczołowitości i pomocy. Pani Sorgue znowu twierdzi, że kobieta nigdy nie będzie równą mężczyźnie, bo nie ma równych sił do pracy. I zebrana przez się statystyką dowodzi, że kobiety pracujące nad siły popadają w ciężkie nieuleczalne choroby: Zostawcie ciężką pracę mężczyźnie, kobieta niech zajmie się domem,—decyduje pani Sorgue. A już na wprost przeciwnym krańcu postępowych idei staje pani Rachilde, twierdząc, że kobieta ma wiele serca, uczucia, wrażliwości, że może być czasem genialną, ale nigdy nie będzie miała ściśle logicznego rozsądku...

Jak widzimy, zdania są bardzo różnorodne, i może te, które pukają do serca kobiety, jako opiekunki ubogich, słabych i uciskanych, najwięcej w naszych duszach znajdują oddźwięku...

Revue de France zastrzegła sobie stanowczo, że wszystkie te opinie zamieszcza bezstronnie, nie wydając swego zdania, które, sądząc z nastroju krótkiej przedmowy, może niezbyt korzystnie wypadłoby dla pewnych radykalnych teorii równouprawnienia.

Czy takie umiarkowanie zachowa nowy dziennik „la Fronde“ mający ukazać się w przyszłym tygodniu? Należałoby życzyć...

Będzie to w Europie pierwsze pismo codzienne, poświęcone sprawie kobiecej i obsługiwane wyłącznie przez kobiety. Dziennik ten będzie zamieszczać jedynie artykuły i utwory, napisane przez pióro piękne—pióro mężczyzny zostało przez „la Fronde“ stanowczo wyłączone.

Cała służba wewnętrzna redakcyi, personel drukarni nawet, składać się będą tylko z kobiet. Naczelną redaktorką będzie pani Durand de Valfère, między zaś ogłoszonymi współpracownikami widzimy słynną paryską felietonistkę, panią Severine, nagrodzoną przez akademię powieściopisarkę p. Daniel Lesueur, panie Georges de Peyrebrune, Judith Gauthier i innych. Służbę woźnych pełnić będą fertyczne pokojówki w ciemnozielonych sukiennych sukniach z białymi wyłogami.

Złośliwi powiadają, że wybór tego kostyumu więcej wywołał rozpraw wśród redakcyjnego komitetu, niż określenie politycznego programu...

Nie zapomniano urządzić przy redakcyi małego podręcznego bufetu, przy którym współpracowniczki będą mogły znaleźć lekki posiłek i gorące napoje, z surowem wyłączeniem wszelkich spirytualij.

Kobiety we Francyi nosiły dotąd bardzo wiele piór przy kapeluszach. Obecnie biorą odwagę pióro do ręki. Ciekawi jesteśmy, jak się powiedzie pierwsza w tym rodzaju niewieścia impreza...

Przegląd najświeższych dzieł literatury przesłę łaskawym czytelnikom niebawem.

C. H.

Z bieżącej chwili.

— Przy wszystkich dyrekcyach naukowych mają być założone muzea zajęć praktycznych. Ministerium oświaty opracowało już projekt odnośny. Muzea te mają powstać z początkiem przyszłego roku szkolnego.

— Jedno z towarzystw ubezpieczeń zwróciło się do ministerium skarbu z prośbą o pozwolenie przyjmowania ubezpieczeń cyklistów od nieszczęśliwych wypadków podczas jazdy na welo-cypedach.

— W tych dniach umarła w Warszawie utalentowana śpiewaczka opery Warszawskiej, s. p. Jadwiga Dylewska.

— „Czytelnia kobiet“ w Krakowie urządza uroczystość na cześć Elizy Orzeszkowej. W teatrze miejskim dana będzie sztuka Orzeszkowej, p. t. „Westalka.“ Oprócz tego wypełnią program widowiska: Żywe obrazy i wiersz Lucyana Rydla. *ad hoc* napisany.

— W Brukselli sprzedano odmianę storczyków Cypripodium hybridum za 4,000 fr. inne za 5,000 i 7,500. Piękna odmiana storczyka, którego listki podobne są do pstrych motylków doszła do ceny 12,000 fr.

— W d. 7 b. m. rozpoczął się w Paryżu proces przeciwko Zoli, który otrzymał w tym dniu adres od uczonych i artystów włoskich. Adres posiada 10,000 podpisów.

— Trzęsienie ziemi dało się w d. 5 b. m. czuć w Lublanie, szkód jednak żadnych nie wyrządziło.

— W styczniu b. r. według danych urzędowych było w Warszawie 416 wypadków chorób zakaźnych w tej liczbie 215 śmiertelnych.

— W Krakowie zmarł wysoce utalentowany artysta malarz Leopold Loeffler, twórca obrazu popularnego: „Powrót z jasyru.“

KARNECIKI.

Strofki karnawałowe.

I.

— Co pani trzyma w ręku? — Mój karnecek, [panie.

— Dostanę go na chwilę? — Proszę... — Ja bo [w zimie

Piszę tylko w karnetach... — Nie wielkie za- [daniel

— Właśnie, ogromne! — Jaki? — Piszę—moje [imię!

— No, a kiedy karnawał będzie końca blisko?

— Ha, trudno... jednej pannie dam wtedy— [nazwisko

II.

— W karnecek pani dzisiaj niech jeszcze się [wkręci

I moje brzydkie imię i nieśmiałe słowo...

— Nie potrzeba! — Okrutna! — Wolę mieć w pa- [mieci!

— O bogi! Moja królowo!

III.

Jeśli chcesz poznać myśli twej tancerki
Weź ją do walca i tańcz nieco dłużej;
A w tańcu wszystkie jej myśli iskierki
Migotać zaczną jak motyl na róży—
Lecz jeśli w walcu bardzo wytrzymała
Uciekaj bracie, póki głowa cała,
Bo taka serce ma zawsze wirowe
I zawsze tobie da tylko połowę
W walcowym ruchu druga część ulata
Do świata!

S.

OGŁOSZENIE.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem

ogłasza niniejszem dla pp. artystów malarzy i rzeźbiarzy polskich konkurs imienia Józefa Kuryerowa, niegdyś obywatela m. Warszawy z nagrodą pieniężną w kwocie rs. 360. Nagroda powyższa stosownie do woli zapisodawcy, przyznana będzie przez Komitet Towarzystwa autorowi obrazu olejnego lub rzeźby, oryginalnych, osnutych głównie na temacie polskim i wybitnie odznaczających się pod względem artystycznym. W braku takiego dzieła, Komitetowi przysługuje prawo rozdzielenia powyższej kwoty na dwie nagrody: I-szą i II-gą dla najlepszych z dzieł przedstawionych oryginalnych i tematu polskiego. Dzieło nagrodzone pozostaje własnością autora. Pragnący ubiegać się o nagrodę imienia Józefa Kuryerowa, winni nadesłać po jednym obrazie olejnym w ramach lub po jednej rzeźbie, które nie były umieszczone na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie, do lokalu Towarzystwa, w czasie pomiędzy 1-m a najdalej 15-m Marca 1898 r., przy załączeniu własnoręcznie napisanej i podpisanej deklaracji, w formie zwyczajnego podania na imię Komitetu Towarzystwa, w której mają być wymienione: tytuł dzieła, data i miejsce urodzenia autora, miejsce obecnego jego pobytu i krótka wiadomość gdzie i w jakiej szkole kształcił się na artystę. Rozstrzygnięcie konkursu przez Komitet, zgodnie z wolą zapisodawcy, nastąpi w dniu 19 Marca 1898 r. Dzieło przyjęte do konkursu przez Komitet i Cenzurę rządową i umieszczone na wystawie Towarzystwa, nie może być z tejże wycofane przez właściciela przed upływem miesiąca po wystawieniu. Koszt transportu, par petite vitesse i cła od obrazów z zagranicy nadesłanych i na konkurs przyjętych, ponosi Towarzystwo. Co do rzeźb, Towarzystwo ponosi koszt transportu, par petite vitesse, tylko do wysokości 10 pudów wagi przesyłki brutto, oraz cła, za wyłączeniem cła od rzeźb w brzoźnie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusze 10 powieści, p. t. *Masarenowie*, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: Credo, przez Stanisława Nałęcz-Ostrowskiego.—S. p. Zofia Podlipska, przez Antoszkę.—W zatoce śmierci. (Wspomnienie z tułactwa), (dalszy ciąg). — Zabawy staropolskie. Kuligi i szlichtady, przez Artura Oppmana. — Bezkrólewie, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Popuszańską (dalszy ciąg). — Nowiny paryżkie, przez C. H.—Z bieżącej chwili. — Karneki. Strofki karnawałowe, przez S.—Ogłoszenie T. Z. S. P.

Dodatek obejmuje: *Masarenowie*, powieść, przez Ouidę, arkusze 10. Przekład Z. S.—Przegląd mód 20 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków.—Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 28 Января 1898 г.